

MARIAN GOLKA

## **POLSKA TRANSFORMACJA W PERSPEKTYWIE POSTKOLONIALNEJ**

Nie marzyłem o wyjściu z Trzeciej Rzeczypospolitej – marzyłem i marzę o wyjściu z Trzeciego Świata.

Ta figura retoryczna, jak każde takie stwierdzenie, zawiera oczywiście pewne przerysowanie i zniekształcenie. W niektórych sprawach może też być uznana za obraźliwą dla tzw. krajów rozwijających się. Stwierdzenie to oddaje jednak zasadniczy kierunek i ton mojej wypowiedzi, umożliwia też sformułowanie bardziej rzeczowych ocen odnoszących się do dwudziestu lat polskiej transformacji.

Artykuł składa się z czterech części. W pierwszej przywołane są ogólne założenia rozważań, w drugiej przedstawiono podstawowe założenia przyjętej tu teorii (perspektywy) postkolonialnej, w trzeciej zostały pokrótce scharakteryzowane mechanizmy zmian po 1989 r., w czwartej zaś sformułowano oceny niektórych skutków transformacji z punktu widzenia tej teorii.

### **I**

Swoje rozważania chciałbym rozpocząć od przedstawienia założeń, które są punktem wyjścia niniejszego artykułu.

Po pierwsze – obraz zmian dokonanych w dwudziestolecu jest z natury rzeczy zamazany i niespójny. Trudno oczywiście, aby było inaczej, gdyż na zmiany oddziaływały czynniki różnorodne, często ze sobą sprzeczne, zarówno spontaniczne, jak i sterowane, w większości jednak niekonsekwentne i niejednorodne. Tak więc tylko niektóre skutki i przejawy transformacji są wyraziste (np. liczba prywatnych przedsiębiorców, liczba bezrobotnych, możliwości konsumpcyjne dóbr i usług); inne są mało czytelne (np. obraz funkcjonowania różnych dziedzin kultury artystycznej czy system wartości). Tym samym niełatwo stwierdzić, ile w polskiej transformacji jest głębokich zmian, a ile kontynuacji tego, co charakteryzowało kraj przed 1989 r.; ile jest efektów pożądaných, a ile niechcianých; ile funkcjonalnych, a ile dysfunkcjonalnych.

Po drugie – ocena tak głębokich zmian i w takiej perspektywie czasu nie może niestety się opierać na obiektywnych przesłankach – gdyż takich po prostu nie ma. Nie ma w tym względzie ani przekonujących, a przede wszystkim porównywalnych w różnych okresach danych statystycznych (np. odnoszących się do PKB, skali zatrudnienia i bezrobocia, kierunków dyfuzji kapitału i jego źródeł, diagnozy różnych interesów), ani też ponawianych i szeroko zakrojonych badań socjologicznych opartych na wspólnej metodologii. Zawodne jest także opieranie się w ocenach na stanie świadomości społecznej (m.in. poczuciu

dobrostanu, zadowolenia lub niezadowolenia ze zmian, aktywności wyborczej i dokonywanych wyborów politycznych). Oceny albo toną we fragmentarycznych i niesystematycznie zbieranych szczegółach, albo są formułowane z punktu widzenia odmiennych interesów, odczuć, a przede wszystkim uzyskanych przez wypowiadających się efektów transformacji, w związku z czym zazwyczaj są sprzeczne. Tak więc – niezależnie od nazw poszczególnych świadectw – nigdy nie da się ich uznać za przekonujące i niepodważalne „dowody”, jednoznacznie usprawiedliwiające takie czy inne konstatacje. Są to zawsze jedynie mniej lub bardziej wymowne i sugestywne argumenty, ściśle związane z optyką polityczną i partyjną, a mniej ze „światem życia” poszczególnych ludzi, mających swoje troski i obawy, przekonania i odczucia, swoją optykę – niezależnie od tego, że zazwyczaj trudne do zwerbalizowania przez zwykłych ludzi.

Po trzecie – w dyskursie publicznym dotyczącym ocen dwudziestolecia niejednakowy jest udział wszystkich podmiotów, grup i kategorii społecznych. Dominują z natury rzeczy głosy uprzywilejowanych beneficjentów zmian (na dodatek ujmowanych poprzez optykę medialnego centrum – stolicy), natomiast głosy przegranych są albo pomijane, albo traktowane jako marginalne przejawy niezadowolenia tych, którzy „niczego nie rozumieją”. Głosy polityków i polityków, którym zazwyczaj niczego nie brakuje, głosy relatywnie zamożnych pracowników naukowych i publicystów, które dominują w dyskursie publicznym, nie są oparte na jakiegokolwiek głębszej znajomości życia codziennego większości Polaków, choć są w ich imieniu wypowiedzane. Miejsce zamieszkania, środki i sposoby przemieszczania się, zasoby finansowe, styl życia i sfera konsumpcji oddzielają ich nieprzeniknioną kurtyną od większości społeczeństwa. Fakt, że wszystkich łączy sfera kultury masowej, w której wszyscy są mniej więcej jednakowo zanurzeni, jeszcze bardziej zmniejsza zdolność rozpoznania istoty sytuacji społecznej. Media masowe – mimo zalewania odbiorców niezliczonymi informacjami – stwarzają jedynie pozór znajomości świata społecznego. W zwierciadle kultury masowej ten świat jest na różne sposoby zniekształcany, zamazany i upozorowany – często z manipulacyjnymi podtekstami.

Nader trudno obecnie o wnikliwą i obiektywną analizę uwzględniającą czynniki, mechanizmy i skutki zmian, której automatycznie nie wiązano by z odmiennymi interesami oraz opcjami różnych partii politycznych, mogących wykorzystać ją jako swój oręż ideologiczny lub argument w walce politycznej. Krótko mówiąc, w dyskursie tym zmiany opisywane i oceniane są zazwyczaj powierzchownie, a przy tym tylko dwustronnie: „za” lub „przeciw”. A przecież należy sądzić – o czym świadczą oczekiwania społeczne – że pomiędzy cynicznym koniunkturalizmem zwycięzców a roszczeniową niechęcią przegranych jest jeszcze miejsce na troskę, niepokój, a przede wszystkim dążenie do poznania bardziej złożonej prawdy.

Po czwarte – ogólne opisy i oceny dwudziestolecia transformacji, choć muszą opierać się w dużym stopniu na odczuciach i wrażeniach, nie powinny być dokonywane na tle politycznym, by nie przesiąknąć swoistym „jadem partyjnych interesów” i animozji, niszczących sens i głębię debaty. Winny one opierać się i uwzględniać maksymalizację dobra zbiorowego polskiego

społeczeństwa. Bo choć procesy integracji politycznej i gospodarczej współczesnego świata przebiegają na różnych płaszczyznach, choć w grę wchodzi różniczne systemy ponadnarodowe, trudno nie dostrzegać, że toczy się także bezwzględna gra o własne narodowe (także państwowe) interesy – tyle że z różną mocą i z różnymi skutkami. Trudno nie dostrzec w tej międzynarodowej grze cynizmu, pouczeń i strofowania liderów wobec tych, którzy z tego czy innego powodu są podporządkowani bądź zajmują gorszą pozycję.

Po piąte – choć próby opisów i analiz podejmowane są dość często, to zazwyczaj jednak nie uwzględniają one żadnej przekonującej teorii. Skądinąd dziwić może, że tyle inicjatyw badawczych i pisarskich odnoszących się do tak niezwykłego fenomenu, jakim była transformacja ustrojowa, nie zaadoptowało ani nie wykreowało żadnej ogólniejszej i jednolitej socjologicznej teorii zmiany<sup>1</sup>. Zazwyczaj opierano się na podejmowanych *ad hoc* generalizacjach, które jednak nie składały się na taki zestaw uogólnień, który dalej mogłyby służyć jako próba wyjaśnienia wielu aspektów polskich przeobrażeń. Stąd uznać należy, że taka teoretyczna perspektywa jest szczególnie potrzebna. Nadto jej przywołanie jest jeszcze możliwe. Sadzę, że perspektywą tą może być teoria postkolonialna. Od jej syntetycznej charakterystyki zaczniemy wywód<sup>2</sup>. Przedtem pragnę jednak podkreślić, iż teoria ta nigdzie nie została zadekretowana. Tak więc, ryzykując niezbędne skróty, pewne uproszczenia czy zmiany akcentów, przedstawiam ją w takiej wersji, w jakiej wydaje mi się ona przekonująca i inspirująca refleksję w odniesieniu do polskich realiów.

## II

Można uznać, że teoria postkolonialna (często skromniej i słuszniej zwana – perspektywą) jest w pewnym stopniu inspirowana marksizmem oraz poststrukturalizmem, któremu towarzyszy humanistyczne, krytyczne spojrzenie na społeczno-kulturowy i polityczno-gospodarczy świat – spojrzenie łączące się z troską i niepokojem.

Teoria ta jest rodzajem intelektualnego sprzeciwu wobec prób zamazania krajobrazu po kolonializmie – w tym sprzeciwu wobec przejawów politycznej amnezji wobec następstw oraz wobec warunków wychodzenia z kolonializmu. Teoretycy i badacze uwzględniający perspektywę postkolonialną szczególnie akcentują trwałość stanu rzeczy powstałego w warunkach kolonialnych i jego długie oddziaływanie, mimo oficjalnego zniesienia kolonializmu. Nie od rzeczy

<sup>1</sup> Co nie oznacza, że takich prób nie było – choćby Jadwigi Staniszkis, Piotra Sztompki, Edmunda Wnuka-Lipińskiego, Marka Ziółkowskiego i innych autorów.

<sup>2</sup> Perspektywę postkolonialną dostrzec można między innymi w takich tekstach, jak: A. Appadurai, *Nowoczesność bez granic. Kulturowe wymiary globalizacji*, Kraków 2005; H. K. Bhabha, *Postkolonializm a postmodernizm. Kwestia podmiotowości*, „Recykling Idei” 2008, nr 10; F. Fanon, *Wyklęty lud ziemi*, Warszawa 1985; L. Gandhi, *Teoria postkolonialna. Wprowadzenie krytyczne*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2008; P. Hallward, *Postkolonialność absolutna*, „Recykling Idei” 2008, nr 10; A. Loomba, *Colonialism/postcolonialism*, London-New York 1998; A. Loomba, S. Kaul, M. Bunzl, A. Burton, J. Esty, *Postcolonial Studies and Beyond*, Durham 2005; A. Memmi, *Dominated Man*, London 1968; S. Mezzarda, F. Rahola, *Kondycja postkolonialna*, „Recykling Idei” 2008, nr 10; M. Pawleta, *Archeologii problemy z wielokulturowością w świetle dyskursu postkolonialnego*, w: *Czy kłęsa wielokulturowości*, red. H. Mamzer, Poznań 2008; G. Prakash, *After Colonialism: Imperial Histories and Postcolonial Displacements*, Princeton 1995; E. W. Said, *Orientalizm*, Poznań 1995; G. Prakash; G. Spivak, *The Postcolonial Critic: Interviews, Strategies, Dialogues*, New York 1990.

jest więc stwierdzenie, że kolonializm przeobrażony w jedną z form neokolonializmu jest praktycznie nieusuwalny.

Uznać należy, że kolonializm to nie tylko westernizacja świata, czyli imperialne zawłaszczanie przez niektóre kraje europejskie (a później przez swoją filię Europy – Stany Zjednoczone) od początków epoki nowożytnej ziem na innych kontynentach. Kolonializm to także wszelkie długotrwałe przejawy przymusu politycznego, ideologicznego, gospodarczego, militarnego i kulturowego państw silniejszych wobec krajów słabszych. Tak więc ta perspektywa może być użyteczna wszędzie tam, gdzie istnieją stosunki, czy choćby ich pozostałości, wynikające z wcześniejszego lub obecnego podporządkowania i dominacji i które zostały narzucone przez różne imperialne ośrodki władzy. I chociaż natychmiast otwiera się tutaj pole do dyskusji na temat imperializmu, nie jest to w niniejszym artykule przewidziane. Przyjmijmy jedynie najogólniej, że imperializm to skłonność państw (czy innych podmiotów – np. transnarodowych korporacji gospodarczych) o statusie mocarstwowym do narzucania swych wpływów krajom znajdującym się w orbicie ich oddziaływania. Obszary wpływów nieustannie się zmieniają (co wynika głównie z wzajemnego wektora sił imperialnych), niemniej zmiany te w sposób zasadniczy nie oddziałują na losy zdominowanych.

Perspektywa postkolonialna zwraca uwagę na fakt, że procesy dekolonizacji czy transformacji obfitują w szereg mieszanych form politycznych, gospodarczych, a przede wszystkim społeczno-kulturowych i psychicznych, wywodzących się zarówno ze starego systemu podporządkowania, jak i nowego, tworzącego się (czy choćby przejmowanego z innych niż dotąd obszarów dyfuzji). Ten nowy system skądinąd rzadko wynika z przemyślanej i skutecznie wcielanej w życie strategii – częściej jest wyrazem improwizacji, prób i błędów, pochodną miejscowego i zewnętrznego układu sił i interesów, wcześniejszej akumulacji kapitału ekonomicznego i społecznego. Wystarczy powiedzieć, że odchodzenie od kolonialnej przeszłości w istocie trwa bardzo długo, czego często nie widać, gdyż zazwyczaj – ideologicznie i medialnie – dominują pozory czegoś nowego. Wolność i zdominowanie, stara i nowa ideologia, stare i nowe interesy długo tworzą skomplikowany melanz przysłonięty nową retoryką medialną i nowymi atrybucjami partyjnymi. Hybrydalne formy polityczne, gospodarcze oraz społeczno-kulturowe (a w tym przede wszystkim mentalne) są niełatwe do zdefiniowania; niezwykle trudno rozsupłać i wyodrębnić poszczególne ingrediencje tworzące ową hybrydalność – tym bardziej że siły postkolonialne są zainteresowane zamazywaniem ich prawdziwej tożsamości. Równie ważne jest to, że teoria postkolonialna nie akceptuje tego, by ową hybrydalność traktować jako normalne i współmierne składniki spluralizowanego świata. W tym względzie teoria ta nie wyraża zgody na relatywizm, uznając, iż tutaj maskuje on rażące niesprawiedliwości; słowem – według tej koncepcji – nie wszystko jest jednakowo korzystne dla postkolonialnego obszaru.

W perspektywie postkolonialnej przejawia się słuszny pogląd, że związek pomiędzy kolonizatorami a kolonizowanymi jest silniejszy i bardziej trwały, niż na pozór się sądzi. W kolonizowanych społecznościach przez pokolenia tkwić mogą wpojone im pod przymusem różne opresyjne postawy, będące zarówno kopiami postaw kolonizatorów, jak i ich zaprzeczeniami, sposobami sprostania

bądź unikania kar lub choćby niedogodności wynikających z konieczności podporządkowania się. Symbioza kolonizatora i skolonizowanego jest niezwykle silna, a przy tym nader wyrafinowana i głęboko ukryta. Władza kolonizatora przenika na całe pokolenia do zakamarków umysłów skolonizowanych, którzy – paradoksalnie – stają się swoistymi nośnikami tej władzy, poniekąd w imieniu i w interesie kolonizatorów<sup>3</sup>. Jest to mechanizm tak trwały, że mimo poniesienia nacisków militarnych, pozostałości skolonizowanej mentalności trwają jeszcze długo, negatywnie oddziałując na szanse pełnej emancypacji skolonizowanych. Ten związek był też często swoście perwersyjny: otóż kolonizatorzy wręcz wyęczali się w podporządkowywaniu sobie skolonizowanych ich własnymi przedstawicielami. To z nich rekrutowali się różnorodni zarządcy, wykonawcy wyroków, trybuni itp.

Słusznie się zatem podkreśla, że przedrostek „post” nie ma sugerować, iż mamy do czynienia z zakończeniem kolonizacji – czyli z takimi lub innymi przejawami dekolonizacji. Owszem, oficjalnie dekolonizacja może być manifestowana, jednakże w istocie rzeczy jest ona albo powierzchowna, albo jedynie formalna – co tym bardziej maskuje prawdziwe i głębokie przejawy uzależnień, podporządkowania i faktycznego skolonizowania. Kolonializm nigdy nie jest „były”, nigdy nie jest „po”. Trwa wiecznie, gdyż albo jest raną, która nie może się zagoić, albo lekarstwa stosowane do jej leczenia same są trujące bądź uzależniające. Postkolonialna sytuacja jest oczywiście mniej lub bardziej subtelnie wymuszoną „zgoda” – często przy euforycznych argumentach zagłuszających albo kompromitujących jakiekolwiek głosy sprzeciwu czy dezaprobaty.

Teoria postkolonialna podpowiada, że większość ludzi tak czy inaczej podporządkowanych, tak czy inaczej upośledzonych, „nie potrafi mówić”, albo ich głos jest uciszany, wyśmiewany, bagatelizowany i kompromitowany. Nie mając silnego zaplecza ideologicznego, a tym bardziej ekonomicznego, kategorie upośledzone nie potrafią zazwyczaj wykreować własnych intelektualistów, którzy dobitnie i przekonująco, a przede wszystkim głośno i skutecznie potrafiliby artykułować ich problemy, a jednocześnie troszczyć się o cały nowo powstający system. Teoria ta, skupiając uwagę na zmarginalizowanych i poszkodowanych, próbuje w jakiś sposób mówić za nich, występować w ich interesie, a nawet próbuje odzyskać dla nich różne wartości.

W perspektywie postkolonialnej nie chodzi o jakikolwiek rewanżyzm, choć oczywiście jest w niej obecne dążenie do intelektualnego zrównoważenia opisów i ocen światów skolonizowanych, które są zazwyczaj lekceważone, pomijane czy pogardzane w dominujących dyskursach. Ważniejsze w tej perspektywie jest jednak swoiste „odzyskiwanie” tych światów, ich wartości, ich możliwości. Perspektywa postkolonialna ma myślowo (a przypuszczalnie także ideologicznie) pomagać tym, którzy wcześniej byli dyskryminowani i których dyskryminacja często jest kontynuowana, nawet wtedy gdy zmieniają się zewnętrzne, a przy tym zazwyczaj pozorne atrybuty stanu rzeczy (np. oficjalne uznanie dekolonizacji). Dużą rolę w takim sposobie myślenia odgrywa coś, co

<sup>3</sup> Bodaj najdobitniejszym tego przykładem było zachowanie części wyzwolonych w XIX w. amerykańskich Murzynów, którzy utworzywszy w 1847 r. nowe własne niepodległe państwo – Liberię – zajęli się handlem niewolnikami.

można nazwać zmniejszaniem obszarów amnezji czy „retuszem pamięci” – zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz światów skolonizowanych.

Perspektywa postkolonialna budzi też pewne zastrzeżenia, wątpliwości, wywołuje niejasności, i to nawet wśród własnych zwolenników. Trzeba choćby skrótowo o nich wspomnieć.

Można dostrzec, że samo kluczowe pojęcie „kolonializm” (jak i „imperializm”) jest nazbyt pojemne, uniformizujące, a tym samym zamazujące różnice pomiędzy kulturami oraz różnymi formami i stopniami kolonialnego podporządkowania. Zbyt znikome jest też historyczne nastawienie w tej teorii, która przejawia przesadnie generalizujące tendencje. Dostrzeganie kolonizacyjnych odmienności jest oczywiście pożądane, a przy tym trudne ze względu na to, że mniej więcej trzy czwarte świata było poddawane w taki czy inny sposób procesom kolonizacyjnym.

Teoria ta pomija też zazwyczaj analizę problemu, jaki byłby stan danych społeczności i ich kultur, gdyby nie zostały poddane procesom kolonizowania. Mimo że obrońcy kolonializmu nazbyt łatwo i ochoczo głoszą korzyści, jakie rzekomo światy skolonizowane uzyskały po kolonizatorach, jednak nie da się zaprzeczyć, że pewne rozwiązania instytucjonalne (np. w sferze administracji), prawne (np. zakaz niektórych krwawych lokalnych obyczajów), gospodarcze (jak choćby infrastruktura drogowa czy kolejowa) czy kulturowe (np. przyjęcie języka europejskiego jako czynnika umożliwiającego zatarcie różnic plemiennych i tworzenie narodów) były korzystne – funkcjonalne dla rozwoju tych społeczności. Nie trzeba jednak przypominać, że jakikolwiek bilans strat i zysków, dysfunkcjonalności i funkcjonalności wobec szans trwania i rozwoju danego systemu, jest niezmiernie trudny do obliczenia, a wszelkie opresje są na tyle wyraźne, że w pełni usprawiedliwione jest ich uwzględnianie w krytyce postkolonialnej.

Łączy się z tym jeszcze jeden problem, a mianowicie obecność „przesłanek przedkolonialnych” – czyli dawnej (może istniejącej w danej społeczności „od zawsze”) obecności określonych wzorów kulturowych, które oddziaływały na jej kondycję, pomagając *versus* przeszkadzając w trwaniu i rozwoju, w radzeniu sobie z konfliktami i z przeciwnościami. Gdy na takie ewentualne negatywne przesłanki nałożyły się wyjątkowo opresyjne cechy obcej kultury dominującej, to zrozumiałe jest, że ich melanż okazywał się szczególnie negatywny w skutkach. Perspektywa postkolonialna jest jednak usprawiedliwiona w swym braku zainteresowania tymi przedkolonialnymi warunkami, gdyż ich rekonstrukcja jest praktycznie niemożliwa. Zmiany kolonialne są zazwyczaj tak głębokie i skuteczne, że poznanie jakiegoś pierwotnego, przeddyfuzyjnego rodzimego stanu jest nierealne.

Istotną i praktycznie nierozwiązywalną trudnością teorii postkolonialnej jest też niedostrzeganie czegoś, co w skrócie można nazwać „koniecznością historyczną”. Choć nie ma tu miejsca na rozważania historiozoficzne (i na nawiązania na przykład do Hegla), można zauważyć, że nie trzeba być fatalistą w pojmowaniu biegu dziejów, by stwierdzić, że do pewnych wydarzeń historycznych niejako musiało dojść, taki bowiem był właśnie wektor sił w szerokim międzynarodowym systemie polityczno-gospodarczo-militarnym. Zazwyczaj objawiało się to miażdżącą przewagą wobec kraju zdominowanego,

który nie miał żadnych szans na przeciwstawienie się dominacji, a imperium (czy imperia) dominujące nie miało żadnych zahamowań, by swoje cele realizować. W systemie imperialnym nie ma próżni i zawsze pojawi się kolejny konkurujący z poprzednim imperator i kolonizator. Zawsze też pojawiały się jakieś racje ideologiczne (w tym religijne), ekonomiczne (poprawa infrastruktury komunikacyjnej), a nawet moralne (np. poczucie misji cywilizacyjnej), by ową „konieczność historyczną” realizować. Potęga polityczna, gospodarcza i militarna ma tendencję do kumulacji i koncentracji (oczywiście do pewnego momentu, który – według znanych analiz Paula Kennedy’ego – pojawia się wówczas, gdy koszty obrony takiej, często nadmiernie rozrośniętej potęgi są zbyt duże w porównaniu z korzyściami uzyskiwanymi z dominacji).

Jeszcze jeden zarzut podnosi się wobec teorii postkolonialnej, a mianowicie brak skutecznych metod badawczych. O ile jeszcze w ogólnej warstwie teoretyczno-metodologicznej w perspektywie tej wypracowano pewien zestaw pojęć, celów badawczych, problemów, twierdzeń i tez, o tyle brakuje ich w warstwie metod i technik badawczych, a jeszcze bardziej narzędzi. Tego zarzutu nie należy demonizować, jako że rzadko która perspektywa ujmowania świata społecznego taką jednorodną i skuteczną metodologię wypracowała. Wszędzie refleksje i badania są prowadzone wrywkowo, nierzadko *ad hoc*, i często nie są porównywalne ze sobą, gdyż po prostu taka jest specyfika ludzkiego świata i zajmujących się nim nauk.

Często twierdzi się – i jest w tym wiele słuszności – że podstawowym celem refleksji postkolonialnej było zniesienie następstw kolonizacji, głównie poprzez „dekolonizację mentalności”. W istocie bowiem mogą wyjechać obce armie, mogą wyjechać komisarze i gubernatorzy, mogą ulec zniesieniu kolonialne prawa i instytucje, lecz pozostanie coś nader trudnego do usunięcia – system wartości, postawy wobec siebie i innych, kryteria oceny świata, resentymenty, brak zdolności i umiejętności do samoorganizacji i do samoobrony. Wydaje się, że jeszcze trudniej, niż badać światy postkolonialne, jest je naprawiać. Tutaj zawodzą wszelkie recepty i podpowiedzi: mało skuteczne są endogenne siły dekolonizujące, a egzogenne są nową formą opresji. Skądinąd – jak wcześniej podkreślono – trwałość mechanizmów i skutków kolonizacji jest jednym z częściej dostrzeganych w perspektywie postkolonialnej problemów. Trzeba jednak wierzyć, choć jest to trudne, że można je w jakiś sposób naprawić. W tym względzie nie powinno się przyjmować postawy fatalistycznej, jako że nie leczona skolonizowana mentalność może na zawsze rodzić niekorzystne skutki.

Czy w tym zakresie teorię postkolonialną trzeba jednoznacznie traktować jako oręż walki politycznej? I tak, i nie. Z jednej strony – niektórzy przedstawiciele tej orientacji mają jednoznaczne sympatie lewicowe, inni jednak nie manifestują wyraźnie swych poglądów politycznych, koncentrując uwagę jedynie na dociekaniach intelektualnych. Tak czy inaczej – perspektywa ta nie jest w pełni obojętna politycznie, co nie oznacza, że ma ona jakieś znaczące w tym względzie sukcesy<sup>4</sup>.

<sup>4</sup> Nie wdając się zbyt wiele w historyzoficzne uogólnienia, można dopatrzeć się wręcz pewnej fatalności losu ludzkiego: zwycięzcy – nie biorąc pod uwagę drobnych zawirowań, fluktuacji i pozornych zmian – są nimi na zawsze, tak jak przegrani są przegranymi bez większych szans na zasadniczą zmianę swego statusu. Nikt dobrowolnie nie oddaje władzy i wpływów, chyba że pod wpływem rewolucji. Pokojowa poprawa losu następuje jedynie wskutek przyjmowania przez przegranych cech zwycięzców (takich jak

Nie sposób zaprzeczyć, iż swoistym kolonializmem były dawne zabory ziem polskich, jak i okres zdominowania kraju przez Związek Radziecki po drugiej wojnie światowej. W pewnej też mierze za „kolonializm w białych rękawiczkach” można uznać zmiany zachodzące w Polsce po 1989 r. – niezależnie od tego, że inne są jego uwarunkowania i mechanizmy. Inne też skutki<sup>5</sup>.

### III

Niełatwo scharakteryzować mechanizmy zmian dokonujących się w Polsce po roku 1989. Przypomnijmy, że druga połowa lat osiemdziesiątych XX w. to okres pełnej zapaści gospodarczej oraz głębokiej anomii społecznej, czyli – jak to ktoś nazwał – „wielkiego gnicia”. Owa anomia spowodowana była między innymi traumą po rozbięciu powszechnego ruchu społecznego pierwszej „Solidarności” poprzez tzw. stan wojenny ogłoszony 13 grudnia 1981 r. Warto w tym miejscu podkreślić, że rozbięcie pierwszej „Solidarności” na długie lata, a prawdopodobnie na zawsze, przekreśliło szansę na poczucie pełnej podmiotowości Polaków. Wszystko co potem się działo, było już robione trochę „obok” i trochę „za” większość Polaków, a stopień identyfikowania się ze zmianami był relatywnie niewielki. W tej sytuacji proces transformacji dokonywał się po omacku, nieco przez perswazję, a nieco przez swoiste wyszarpywanie; trochę dla dobra społeczeństwa polskiego, ale też – niestety – na jego szkodę. Transformacja nie miała algorytmów, nie mała też opieki żadnej znaczącej siły politycznej, a tym bardziej własnego suwerennego państwa. Była wypadkową konieczności i możliwości, przypadku i manipulacji, optymizmu i bezradności. I pewnie wtedy nie mogła być inna.

Zmiany musiały łączyć w sobie przeobrażenia ustrojowe, polityczne, gospodarcze, społeczne i kulturowe<sup>6</sup>. Towarzyszyły im dążenia niepodległo-

---

bezwzględność czy drapieżność) oraz względnej poprawy sytuacji wynikającej ze zmian technologicznych i edukacji. Pozioma i pionowa ruchliwość społeczna, pewne możliwości zmiany swego statusu społecznego są faktami obserwowalnymi – szczególnie w świecie współczesnym. Jednak ich uwarunkowania wynikające z różnic w kapitale społecznym są, i pewnie ciągle będą nader wyraźne. Nie zmienia tego traktowanie owych faktów jako argumentu w ideologii społecznej liberalizmu.

<sup>5</sup> Coraz częstsze są poglądy łączące sytuację (a przynajmniej podejmujące analizę) w Polsce i w innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej z postkolonializmem: M. Buchowski, *Widmo orientalizmu w Europie. Od egzotycznego Innego do napiętnowanego swojego*, „Recykling Idei” 2008, nr 10; C. Cavanagh, *Postkolonialna Polska. Biała plama na mapie współczesnej teorii*, „Teksty Drugie” 2003, nr 2-3; M. Golinczak, *Postkolonializm: przed użyciem wstrząsnąć*, „Recykling Idei” 2008, nr 10; Z. Najder, *Czy Polacy są „postkolonialni”?*, „Europa. Tygodnik Idei” 2005, nr 65; M. Nowicka, *Rzeczpospolita postkolonialna*, „Wiedza i Życie” 2007, nr 9; D. Skórczewski, *Dlaczego Polska powinna upomnieć się o swoją postkolonialność?*, „Znak” 2007, nr 628; I. Surynt, *Badania postkolonialne a „Drugi Świat”*, „Teksty Drugie” 2007, nr 4; O. Szwabowski, *Polska – miejsce bitwy*, „Recykling Idei” 2008, nr 10; E. Thompson, *Said a sprawa polska*, „Europa. Tygodnik Idei” 2005, nr 26; eadem, *W kolejce po aprobate. Kolonialna mentalność polskich elit*, „Europa. Tygodnik Idei” 2007, nr 38. Pragnę jednak wyraźnie podkreślić, że przedstawione dalej uwagi i spostrzeżenia formułuję wyłącznie we własnym imieniu.

<sup>6</sup> Przywołuję tu wcześniejsze moje teksty (m.in. artykuł *Problemy Polski i Polaków* opublikowany w tomie *Adaptacja przez transformację*, red. Z. Drozdowicz, Z. Puślecki, Poznań 2001 oraz *Początki – konce – trwanie*, opublikowany w tomie *Konce i początki. Socjologiczne podsumowania, socjologiczne zapowiedzi*, red. R. Drozdowski, Poznań 2007), a przede wszystkim fragmenty książki *Transformacja ustrojowa a kultura w Polsce po 1989 roku*, Warszawa 1997, s. 7 i n. Tam też podano stosowną literaturę.

ściowe, a przynajmniej pragnienie uzyskania większej politycznej suwerenności. Miały one pewne poparcie różnych grup i kategorii społecznych, niezależnie od tego, że inne środowiska społeczne były im przeciwne lub obojętne. W procesy te uwikłanych było wiele krajów Europy Środkowo-Wschodniej, a także – bardziej pośrednio – wielkie mocarstwa reprezentujące światowy ład polityczny, militarny i gospodarczy. Takie były zasadnicze uwarunkowania zmian, które można łatwo podzielić na zewnętrzne i wewnętrzne.

Zacznijmy od uwarunkowań zewnętrznych. Jednym z nich była słabość ekonomiczna krajów o gospodarce socjalistycznej ze Związkiem Radzieckim na czele (gdzie wskaźnik rozwoju gospodarczego na początku lat osiemdziesiątych obniżył się do poziomu 0,5%). Niewydolność gospodarcza spowodowała, że ZSRR nie wytrzymał wyścigu zbrojeń. W tym momencie należy przypomnieć o twardej i konsekwentnej polityce prezydenta Stanów Zjednoczonych, Rolanda Reagana, i sekundującego mu zastępcy sekretarza obrony ds. bezpieczeństwa strategicznego, Richarda Perle'a, szachujących ówczesny Związek Radziecki widmem tzw. wojen gwiazdnych, a właściwie narzuceniem takiego pułapu technologicznego i ekonomicznego w wyścigu zbrojeń, którego ZSRR nie mógł osiągnąć.

Nie można też bagatelizować pozytywnej roli ówczesnych przywódców ZSRR w osobach Michaiła Gorbaczowa i Eduarda Szewardnadze, którzy nie tylko w miarę szybko uzmysłowili sobie dystans dzielący gospodarkę i technologię ZSRR od Zachodu, ale także potrafili stosunkowo elastycznie i bezkonfliktowo przeprowadzić pewne zmiany w aparacie władzy oraz w obowiązującej ideologii. Dziś nie jest już ważne, czy był to tylko manewr taktyczny, czy autentyczna zmiana postaw, jako że daleko istotniejsze od intencji okazały się korzystne dla świata skutki tych zmian (w tym odrzucenie tzw. doktryny Breżniewa), osłabienie napięcia międzynarodowego, zmniejszenie antagonizmów między dwoma blokami, pewna redukcja uzbrojenia, retusz wzajemnych stref wpływów itp.

Jednocześnie postępował spadek atrakcyjności ideologii komunistycznej lansowanej przez ZSRR. Jej imponująca ekspansja w kolejnych dekadach po drugiej wojnie światowej uległa deprecjacji już w kilka lat później, a zahamowaniu w latach osiemdziesiątych. Na to nałożyło się rozwarstwienie ideologiczne światowego komunizmu, w tym pojawienie się tzw. eurokomunizmu dystansującego się od bezkrytycznego popierania Związku Radzieckiego i jego polityki międzynarodowej. Kończyło się to nieraz tym, że wiele europejskich partii komunistycznych przyjmowało raczej ideologię socjaldemokracji.

Nie bez znaczenia była też atrakcyjność zachodnich wzorców życia, a przede wszystkim standardów konsumpcji, które w społeczeństwach satelickich wobec ZSRR znane były mniej z autopsji, a raczej dzięki filmom fabularnym, radiu i telewizji. Demonstracja zachodniego dobrobytu wpływała w zasadniczy sposób na świadomość mieszkańców krajów tzw. realnego socjalizmu, których coraz trudniej propaganda partyjna i państwowa mogła przekonać do jego rzekomej wyższości ustrojowej.

Wszystkie te czynniki i warunki dawały o sobie znać wewnątrz każdego z krajów tzw. bloku wschodniego, w tym oczywiście także w Polsce – i to już bardzo wcześnie, gdyż przynajmniej od tzw. Wydarzeń Poznańskich w 1956 r., poprzez wydarzenia na Wybrzeżu w 1970 r., aż do powstania NSZZ

„Solidarność” w 1980 r. Coraz bardziej ujawniała się niewydolność gospodarcza ustroju socjalistycznego (brak mechanizmów rynkowych powodował niską jakość produkcji, inercję technologiczną, niechęć do innowacji itp.), a co za tym szło – niezdolność do zaspokajania rosnących apetytów konsumpcyjnych i pragnień wolnościowych. Oczywiście powodów do niezadowolenia było znacznie więcej: dewastacja środowiska naturalnego, trudności z uzyskiwaniem zgody na wyjazdy zagraniczne, zantagonizowanie społeczno-polityczne „my–oni”.

Istotnym wewnętrznym czynnikiem w procesie transformacji w Polsce była też rola Kościoła katolickiego, który nie poddał się próbie wyparcia go przez PZPR z życia publicznego. Kościół nie tylko ostał się jako znacząca instytucja, lecz w latach osiemdziesiątych podjął czynną alternatywną rolę wobec autorytarnego państwa. Nie do przecenienia była w tym względzie rola papieża Jana Pawła II.

Swoiste i niewyraźne okoliczności tworzyły też warunki przebiegu transformacji w 1989 r. i w latach następnych.

Mało spektakularnym, acz istotnym uwarunkowaniem zmian w pierwszych latach transformacji była dawna biurokracja. Gdy w Polsce jednoznacznie zmniejszył się wpływ jednej monopolistycznej partii, gdy daleko idącej atrofii uległo oddziaływanie państwa na różne sfery gospodarki, niejako w utajeniu pozostała wielka armia urzędników różnych szczebli. To ona stanowiła pomost – na dobre i złe – dla nowych premierów, ministrów, wojewodów, burmistrzów. Jak zauważył Edmund Wnuk-Lipiński, biurokracja w takiej sytuacji może przejawiać różne reakcje: może się adaptować, rewoltować, odrzucać czy wycofywać. Autor stwierdził, że w Polsce po 1989 r. mieliśmy najczęściej do czynienia z adaptacją – czyli ze zmianą lojalności w celu zachowania dotychczasowych pozycji społecznych. Rzadziej biurokracja przejawiała wycofanie – czyli zmianę tożsamości zawodowej, a chyba jeszcze rzadziej – odrzucenie, czyli dystans wobec nowych szefów (z zachowaniem lojalności dla starej władzy). W każdym jednak przypadku biurokracja była czynnikiem zachowawczym, co w jednych sprawach przejawiało się jako konserwacja elementów dawnego ustroju, w innych zaś jako osłona przed nazbyt eksperymentalnymi pomysłami mało doświadczonych nowych elit politycznych, administracyjnych czy gospodarczych.

Trudne do rozpoznania były świadome działania i intencje beneficjentów poprzedniego systemu: sekretarzy PZPR, dyrektorów przedsiębiorstw, prezesów banków i spółdzielni, ważniejszych pracowników aparatu bezpieczeństwa, którzy – jak się nieraz przypuszcza – mogli też odegrać znaczącą rolę w animacji wygodnych dla siebie nowych okoliczności tzw. uwłaszczenia. Rozpoznanie tych uwarunkowań wymagałoby jednak bardziej wywiadowczych, aniżeli socjologicznych umiejętności. Tak czy inaczej, wielu z nich zainteresowanych było kontynuowaniem dawnego systemu interesów z nowym ich ideologicznym (liberalizm) i ustrojowym (kapitalizm) obliczem.

I wreszcie uwarunkowania kulturowe transformacji. Oblicze kultury społeczeństwa polskiego w latach 1945-1989 nie było jednolite, jako że złożone ono było z wielu różnych ingrediencji: dawnej polskiej mitologii, dziwnej mieszaniny elementów plebejskich i arystokratycznych wraz z domieszką współczesnych bezkształtnych naleciałości kultury masowej, przejawów

swoistego ludowego katolicyzmu, wyraźnych elementów kultury robotniczej, socjalistycznego „projektu” całości życia i kultury egalitarystyczno-internacjonalistycznej – słowem bliższej i dawniejszej tradycji, która obecna była w życiu Polaków przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Zgodzić się trzeba z opiniami, że kultura realnego socjalizmu była zarówno dysfunkcjonalna (jako balast), jak i eufunkcjonalna (czyli obojętna) dla dokonujących się przemian ustrojowych.

Tak więc upadek realnego socjalizmu i rozpoczęcie transformacji trzeba uznać za efekt wielu od dawna oddziałujących czynników zewnętrznych i wewnętrznych o niewyraźnym początku i przebiegu, o niewyraźnej inicjacji i inkubacji, a także o niewyraźnym dojrzewaniu i niejednorodnym charakterze efektów.

Trzeba też pamiętać o tym, że odrzucenie poprzedniego ustroju odbyło się nie poprzez jakieś traumatyczne wydarzenie (wojna, rewolucja powszechny ruch społeczny), lecz poprzez negocjacje rozpoczęte 6 lutego 1989 r. przy Okrągłym Stole przez bardzo niewielką grupę przedstawicieli władz (na czele z Czesławem Kiszczakiem – ówczesnym ministrem spraw wewnętrznych oraz profesorem Januszem Reykowskim reprezentującym władzę w odniesieniu do spraw zmian politycznych) oraz równie niewielką grupę przedstawicieli opozycji (z Lechem Wałęsą na czele oraz profesorem Bronisławem Geremekiem reprezentującym opozycję w kwestiach zmian politycznych), którym towarzyszyło relatywnie niewielkie zainteresowanie większości społeczeństwa. Choć dziś zarówno motywy, jak i umiejętności negocjacyjne ówczesnych stron uległy pewnej mitologizacji, to przecież tych umiejętności nie należy podważać, a samych skutków rozmów przy Okrągłym Stole nie sposób bagatelizować, a tym bardziej zdeprecjonować. Stał się on jednym z największych historycznych sukcesów Polski i Polaków.

Ta „wynegocjowana zmiana” nie przesądziła jednak o przyszłym charakterze Polski – przesądziła jedynie o relatywnie łagodnym początku zmian. Dalszy ciąg – czyli ostatnie 20 lat – to żywiołowa wypadkowa oddziaływania sprzecznych wobec siebie sił: dawnych politycznych i gospodarczych cech realnego socjalizmu (w tym jego mitologii), nowych ideologicznych haseł liberalnych (które w Polsce często traktowane były jako uzasadnienie rabunkowego zawłaszczania i sprzedaży majątku narodowego) oraz bierności społeczeństwa, które zaskakiwane zmianami nie czuło ani wsparcia własnego państwa, ani elit politycznych, ani też innych instytucji (np. Kościoła).

To wszystko sprawiło, że transformacja nie mogła przebiegać klarownie i jednokierunkowo. Wręcz odwrotnie, niosła ona ze sobą wiele dylematów i sprzeczności, nawiązań do przeszłości i prób konserwacji niektórych dawnych elementów, ujawniając jednocześnie wiele negatywnych nowych zjawisk dzikiego kapitalizmu, nad którymi nikt nie panował albo nie chciał panować. Niektóre z nich stały się trwałymi mizერიami polskiego społeczeństwa.

#### IV

Transformacja ustrojowa przebiegała w niekorzystnych warunkach i w dużym stopniu „po omacku”. Niemal oczywiste więc jest, że i skutki transformacji są nader niejednoznaczne. Powstaje zasadnicze pytanie: czy

musiała ona dać tak połowiczne rezultaty – a w tym tak wiele negatywnych?

Mimo że efekty zmiany systemowej są różnorodne i że nie rysują się wyraźnie, a co najważniejsze – ich ocena nie jest jednoznaczna, to przecież zgodzić się należy, że ogólnie pozytywny kierunek zmian po upadku komunizmu został w zasadzie przesądzony: ustrój demokratyczny i gospodarka rynkowa dominują w Polsce. Reguły demokratyczne są w zasadzie przestrzegane i chronione zapisami prawa, gospodarka jest w dużym stopniu urynkowiona. Zachowane zostały takie wartości, jak niepodległość i suwerenność kraju (oczywiście na tyle, na ile jest ona możliwa we współczesnym międzynarodowym układzie stosunków politycznych), bezpieczeństwo zewnętrzne wzmacniane sojuszem z NATO i członkostwem w Unii Europejskiej, integralność terytorialna, rozwój gospodarczy i wpisywanie się w proces rozwoju cywilizacji zachodniej oraz restytucja pamięci społecznej. Towarzyszą temu lepsze możliwości zaspokajania potrzeb konsumpcyjnych i wszelkich przyjemności – głównie rozrywkowych. To są niewątpliwe sukcesy transformacji.

Wydaje się przy tym, że tych pozytywnych rezultatów nie trzeba już specjalnie uzasadniać – tym bardziej że beneficjanci zmian nieustannie o nich przypominają, deprecjonując przy tym wszelką próbę krytyki, która jednak jest nader potrzebna. Rozważmy więc skutki negatywne ujmowane z perspektywy postkolonialnej. (Wtrącić należy uwagę, że każdy ze skutków transformacji wymagałby opisanie przynajmniej w obszernym artykule. Szczególnie „polska dusza” tego czasu czeka na scharakteryzowanie. Tu można było zająć się jedynie lakonicznie pojedynczymi kwestiami).

Do negatywnych skutków należy typowa dla krajów postkolonialnych pętla zadłużeniowa. Kraje postkolonialne cechują się brakiem samodzielności, a jednocześnie brakiem odpowiedzialności, czego wyrazem są bezceremonialnie zaciągane kredyty. Mimo zasadniczych redukcji zadłużenia zagranicznego odziedziczonego po latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, zadłużenie zagraniczne Polski po 1989 r. znacząco wzrosło, utrudniając możliwości rozwojowe kraju<sup>7</sup>. Państwo polskie w samym tylko 2009 r. musi sprzedać 155 mld zł obligacji jedynie po to, by swe zadłużenie (zagraniczne i wewnętrzne) przesunąć (rolować) na następne lata bez spłaty dotychczasowego, natomiast rządowe i bankowe zadłużenie zagraniczne w 2009 r. wynosi ok. 130 mld dolarów. Same spłaty odsetek rządowego zadłużenia zagranicznego Polski pochłaniają corocznie ok. 30 mld zł (warto tu dla porównania dodać, że roczne wydatki budżetu państwa na szkolnictwo wyższe wynoszą ok. 10 mld zł, na naukę ok. 5 mld zł, a na kulturę i dziedzictwo narodowe ok. 1 mld zł)<sup>8</sup>. Od początku transformacji sprzedano też większość majątku narodowego (w tym firmy znoszące złote jaja – np. Telekomunikację Polską). Wydawałoby się więc, że istniały odpowiednie zasoby kapitału dla modernizacji kraju. Tymczasem, mimo tak gigantycznego zadłużenia i równoległych wyprzedaży państwowych

<sup>7</sup> W 1990 r. zadłużenie zagraniczne Polski wynosiło ok. 49 mld dolarów, w 1995 r. ok. 62 mld dolarów, w 2004 115 mld, a w 2008 r. wynosiło już ok. 130 mld dolarów (nie licząc zadłużenia sektora pozarządowego i pozabankowego).

<sup>8</sup> Podaję te dane w przybliżeniu, nie odnosząc ich do poszczególnych lat budżetowych po to, by ukazać zasadnicze wielkości wydawanych sum.

firm, nie rozwiązano żadnego ważnego problemu wewnętrznego Polski: nie zbudowano nowoczesnego systemu opieki zdrowotnej, nie stworzono systemu szybkich dróg (ani też nie wyremontowano istniejących), nie zmodernizowano kolei, nie uporano się ze zniszczeniami środowiska naturalnego, nie rozwiązano problemu zależności energetycznej Polski, nie uregulowano kwestii reprivatyzacji itd. W wyniku pętli zadłużeniowej już po kilku latach następuje – paradoksalnie – odpływ kapitału inwestycyjnego netto z państw będących dłużnikiem do państw (czy zagranicznych banków) będących wierzycielami. Polska znalazła się w tym destrukcyjnym mechanizmie.

Mówiąc o społecznych efektach transformacji, z pewnością trzeba powiedzieć o relatywnie niskiej kulturze politycznej – zarówno obywateli, jak i polityków – również charakterystycznej dla sytuacji postkolonialnych. Ani funkcjonowanie realnego socjalizmu, ani wspomniane wcześniej mechanizmy transformacji ustrojowej nie wciągnęły większości społeczeństwa w życie polityczne (warto przypomnieć, że nawet w pierwszych wolnych wyborach w czerwcu 1989 r. brało udział mniej niż dwie trzecie uprawnionych Polaków – 62%; później bywało jeszcze gorzej, zdarzało się bowiem, że frekwencja wyborcza nie przekraczała 50%). Dystansowanie się wobec polityki i polityków miało swe źródła zarówno w braku upodmiotowienia Polaków i niechęci do stworzenia społeczeństwa obywatelskiego, jak i w rozczarowaniu wobec przebiegu transformacji i polityków. Lepszy obieg informacji i uzyskanie swobody mówienia o rzeczywistości publicznej nie szły w parze z możliwością skutecznego na nią oddziaływania, ani bezpośredniego, ani poprzez wpływ na działanie władz. Obieg informacji był często inspirowany poprzez wzajemne konkurencyjne ugrupowania polityczno-biznesowe, mające zdyskredytować przeciwnika, a nie z dążenia do dobra zbiorowego. Rodziło się i upowszechniało poczucie bezsilności, które było zrozumiałe, gdy ludzie nie uzyskiwali wsparcia w instytucjach publicznych – instytucjach, które najczęściej pozostawiały samej jednostce konieczność uporania się z nowymi problemami. Pojawiła się nowa nieufność, a nawet obrzydzenie wobec polityków i polityki, co było tym bardziej uzasadnione, że Polacy zanurzeni w kulturze masowej w taki czy inny sposób odczuwali, że zamiast polityków działających dla ich dobra częściej mają do czynienia z cynicznymi politykierami działającymi we własnym interesie oraz na rzecz własnych partii, a aparat państwa, zamiast służyć obywatelom, wykorzystywany jest do realizacji partykularnych interesów (co spektakularnie ujawniła tzw. afera Rywina). Nadto Polacy zauważali, że zamiast pełnej demokracji, mają do czynienia z mediokracją, a ich decyzje wyborcze są mniej lub bardziej dyskretnie inspirowane przez różne środki masowego przekazu, które z kolei powiązane są z różnymi grupami interesu.

Kolejnym swoiście postkolonialnym przejawem jest quasi-plemiennność. Już realny socjalizm wytwarzał sprzyjające warunki do powstawania tego, co nazywano znajomościami, kumoterstwem i klikami. Po 1989 r. całkowicie zawiodły oczekiwania, że coś się w tej materii zmieni. Zamiast transparentności mamy do czynienia z ukrytymi powiązaniem polityczno-gospodarczo-towarzyskimi, które sprawiają, że w wielu instytucjach, w administracji, w przedsiębiorstwach, o obsadzie stanowisk, o udziale w radach nadzorczych, o zleceniach decydują właśnie te powiązania, a nie

kompetencje. Oficjalne konkursy na stanowiska czy przetargi na zlecenia są często traktowane jako przykrywka dla rozwiązań wynikających z owej quasi-plemienności. Dopiero jakaś znacząca zmiana sił politycznych odsłania te fakty, które następnie są nie tyle naprawiane, ile korygowane w imię nowych lojalności i powiązań. Specjalnym, acz trudnym do zbadania bez detektywistycznych umiejętności jest właśnie układ interesów. Dawne relacje grupowe ukształtowane przez aparat partyjny i mechanizmy centralnego zarządzania gospodarką w dużym stopniu uległy przeobrażeniu albo przynajmniej przedefiniowaniu. Niektóre stare układy interesów zostały rozbite, inne zaś znalazły dla siebie akceptowaną ustrojowo i prawnie formę ekspansji; pojawiły się też nowe układy. Wszystko to razem tworzy nie zawsze czytelną strukturę – szczególnie dla obserwatora zewnętrznego. Zmiany w tym systemie nie są łatwe. Można bowiem odnieść wrażenie, że zwiększonej ruchliwości przestrzennej Polaków nie towarzyszy wyraźniejsza międzypokoleniowa ruchliwość pionowa, a jeżeli już, to znacznie łatwiej przejawiają się degradacje społeczne aniżeli awans.

Z omówionym wyżej zjawiskiem silnie związana jest typowa dla krajów postkolonialnych skłonność do korupcji i łatwość jej funkcjonowania, przy daleko idącym społecznym przyzwoleniu na nią. Bezwzględna większość Polaków dostrzega korupcję w Polsce, tak też jesteśmy postrzegani na zewnątrz<sup>9</sup>. Choć zjawisko to wymagałoby bardziej precyzyjnej analizy, można przyjąć, że skłonność do korupcji łączy się w jakiś syndrom z innymi naszymi negatywnymi zachowaniami: skłonnością do oszukaństwa, matactwa, malwersacji<sup>10</sup>. Prawdopodobnie cechy te pojawiły się w czasach realnego socjalizmu jako swoista strategia życiowa Polaków i jakoś nie chcą teraz zniknąć. Zadziwiające jest to, że Polacy nie chcą z tej strategii zrezygnować i dobrze muszą się z nią czuć, skoro wszelkie próby uporządkowania życia publicznego w tym zakresie zawodzą. Praktycznie nie ma kategorii społecznej, w której by się ona nie przejawiała (łącznie z niektórymi przedstawicielami nader prestiżowych zawodów: lekarzy, prawników, pracowników naukowych). Można postawić hipotezę, że polska skłonność do korupcji i – szerzej – do nieuczciwości, kształtowana jest już we wczesnych latach – w szkole podstawowej, średniej oraz wzmacniana na studiach – poprzez powszechne w naszym kraju tzw. ściąganie podczas egzaminów oraz wszelkie inne tego rodzaju oszustwa, jak np. korzystnie z gotowych prac (w tym maturalnych, licencjackich i magisterskich) kupionych od innych uczniów czy studentów. Jest to swoisty trening, a jednocześnie stwarzanie dogodnej aury mentalnej dla podobnych

<sup>9</sup> Według badań OBOP z sierpnia 2005 r., 94% badanych Polaków dostrzega w Polsce korupcję, według badań GFK Polonia z listopada 2006 – 93% badanych uważa Polskę za kraj skorumpowany. Według badań Transparency International z września 2008 r., tzw. Indeks Percepcji Korupcji plasował Polskę na 58 miejscu (pośród 180 badanych krajów). Był to jeden z najgorszych wskaźników w Europie, a na tej liście sąsiadowaliśmy z wieloma krajami Afryki i Ameryki Południowej. Nie wiadomo, czy pocieszeniem mogą tu być Rumunia i Bułgaria, które zajmowały jeszcze gorsze miejsce niż Polska. Można jedynie mieć nadzieję, że działania antykorupcyjne (w tym Centralnego Biura Antykorupcyjnego) stopniowo przyczyniać się będą do zmniejszenia tego negatywnego zjawiska.

<sup>10</sup> Warto przypomnieć, że takie negatywne zjawiska obecne były nawet w działaniach skądinąd nader szlachetnych instytucji – jak np. UNICEF czy Fundacji Pojednanie Polsko-Niemieckie.

poczynań w dorosłym życiu<sup>11</sup>. Korupcja i wszelka inna nieuczciwość w relacjach społecznych wzmacnia zaufanie „wewnątrzplemienne” (pośród swoich), natomiast przyczynia się do destrukcji zaufania w szerszej skali społecznej, a tym samym do destrukcji ładu społecznego.

Trzeba też wspomnieć o niemal powszechnym obniżeniu poczucia bezpieczeństwa we wszystkich aspektach, a więc zarówno bezpieczeństwa fizycznego w miejscach publicznych, jak też poczucia pewności zatrudnienia czy bezpieczeństwa związanego z wyborami celów życia i sposobów ich realizowania. Jedynymi znanymi wielu ludziom sposobami radzenia sobie w tej sytuacji były odziedziczone po PRL-u sposoby wycofania się, co też często stosowano. Polacy nie mają poczucia, że własne państwo (z definicji mające monopol na stosowanie przemocy w obronie i ochronie własnych obywateli) znacząco im pomaga. Z kolei jedyna forma pomocy, jaką proponowało państwo – czyli bezceremonialnie rozdawane fikcyjne renty, wcześniejsze emerytury oraz wszelkiego rodzaju zasiłki – traktowane jako pomoc w sytuacji bolesnej transformacji gospodarczej, okazywały się na dłuższą metę dysfunkcyjne, przyczyniały się bowiem do demoralizacji społecznej, a nawet do patologii (żebractwo, alkoholizm, „zawodowe bezrobocie” itp.). Stan ten pogarsza niewielka skuteczność policji (np. wykrywalność złodziei samochodów często wynosiła ok. 3%), opieszałość organów ścigania oraz sądów. W efekcie ani wobec wielkich i głośnych przestępstw (zabójstwo głównego komendanta policji), ani w obliczu bardziej powszednich (uliczny napad) państwo polskie nie oferuje bezpieczeństwa.

Zwróćmy też uwagę na to, co widać i słyszeć w otwartych przestrzeniach publicznych: na ulicy, w tramwaju, w pociągu<sup>12</sup>. Substancja budowlana miast polskich jest w katastrofalnym stanie, co jest najbardziej widoczne w śródmieściach miast (z wyjątkiem ścisłych centrów, które są relatywnie zadbane). Gdy przechodzimy ulicami większości miast polskich, widzimy odpadające lub odrapane tynki, niszczące elementy elewacji, zdewastowane bramy i drzwi wejściowe. Opłakany widok przedstawiają też klatki schodowe; gdy spojrzymy w głąb podwórzy i dziedzińców, widzimy jeszcze bardziej odrapane szopki, przybudówki, prowizoryczne garaże. Zmiany są jedynie kosmetyczne: owszem, tu i ówdzie jakiś siedziba banku czy sklepu została wyłożona płytami marmurowymi czy terakotą; tu i ówdzie wybudowano kilka biurów czy nowych, skądinąd imponujących osiedli mieszkaniowych; tu i ówdzie położona została nowa kostka brukowa, a łuszczące się ściany elewacji przykryto planszami reklamowymi. I tyle. Ulica polska po 1989 r. stała się może mniej szara, ale nie przestała być zaniedbana. Specyficznym przejawem nowych zniszczeń, ale też i swoistych działań plastycznych, jest graffiti. Obecne jest ono widoczne niemal wszędzie na świecie, ale w naszych miastach jest szczególnie agresywne i szczególnie bezceremonialne względem ładu przestrzenno-architektonicznego. Graffiti było też w Polsce obecne przed

<sup>11</sup> Można dostrzec, że polscy uczniowie bardziej chwalą się między sobą tym, że udało im się coś „ściągnąć” na egzaminie, niż tym, że się przygotowali. Często też dorośli bardziej podbudowują swój prestiż tym, że coś udało im się „załatwić”, niż tym, że coś uczciwie zdobyli.

<sup>12</sup> Wymienione dalej spostrzeżenia mają trywialny charakter. Nie pomniejsza to jednak ich opresyjności.

rokiem 1989. Jeżeli jednak przedtem miało ono głównie wymowę ideologiczno-polityczną i było przejawem kontestacji, to współcześnie są to graniczące z wandalizmem „tagi” charakterystyczne dla graffiti miejskiego. Towarzyszy temu dżungla reklam, nad którymi nikt nie panuje, nikt nie określa zasad, którymi winni się kierować ich inwestorzy w przestrzeni publicznej. I można by tak bez końca wyliczać degenerację przestrzeni publicznych: niszczące dworce kolejowe (szczególnie małe stacje), tonące w śmieciach pobocza torów kolejowych czy też zdewastowane wagony pociągów podmiejskich.

Język, jakim posługują się w przestrzeniach publicznych Polacy (w każdym wieku i każdego pewnie zawodu), jest przesycony wulgaryzmami. Kiedyś Johann G. Herder stwierdził, że „każdy naród mówi w taki sposób, w jaki myśli, i myśli w taki sposób, w jaki mówi”. I choć oczywiście trzeba uznać, że obustronna zależność pomiędzy mówieniem a myśleniem jest bardziej złożona, to przecież ta demoniczna obecność wulgaryzmów w języku codziennym świadczy też o obecności jakichś negatywnych emocji, jakiegoś jaadu we wzajemnych relacjach ludzi i w ich relacjach ze światem. Do tego dochodzi bezpośrednia agresja w zachowaniach w miejscach publicznych – zarówno na trotuarze pośród pieszych, jak i na jezdni pośród polskich kierowców, bezceremonialne picie alkoholu w miejscach publicznych, żebractwo bez zażenowania, a nawet głośne rozmowy przez telefon komórkowy<sup>13</sup>. Słuchanie muzyki z przenośnych odtwarzaczy bywa upiorne dla postronnych, wystawianie głośników w oknach – koszarne dla sąsiadów. Słowem, hałas jest przejawem swoistego rozpychania się w przestrzeni – może bardziej brutalnego niż rozpychanie się łokciami.

Można oczywiście powiedzieć, że nie są to zachowania większości Polaków. I jest to prawdą, tylko że większość nie sprzeciwia się tym zachowaniom, co jest rodzajem przyzwolenia społecznego na negatywne wzorce; natomiast zdominowana większość podporządkowuje się im, co tym bardziej upowszechnia negatywne postawy. W efekcie wszystkie te patologie uchodzą za zachowania normalne, jako że równoległe nastąpił zanik wychowywania – z obawy przed agresją – w miejscach publicznych.

Dążąc do uogólnienia, można stwierdzić, że to właśnie szeroko rozumiana sfera publiczna i jej zagrożenia wydają się najgorszym skutkiem transformacji – skądinąd typowym dla sytuacji postkolonialnych. Sfera ta tworzy nader niekorzystną, toksyczną matrycę socjalizującą, która sprawia, że odtwarzają się złe cechy psychiczne i społeczne. Podkreślić należy, że tak destrukcyjnych zachowań i sytuacji w takiej skali nie spotyka się nigdzie w Europie. Trzeba przy tym zapytać, skąd takie przejawy niesolidarności, destrukcji, agresji, pogardy wzięły się w Polsce? Jakie są ich uwarunkowania? Dlaczego Polacy nie odkryli zasady racjonalnego postępowania – czyli współpracy? Dlaczego nasza strategia polega na wyszarpywaniu większych lub mniejszych kęsów, a nie na współdziałaniu?

Otóż można uznać, że wszystkie poprzednie postkolonialne skutki transformacji uniemożliwiły rekrutację, ukształtowanie i lansowanie bezinteresow-

<sup>13</sup> W wielu krajach zachodniej Europy (m.in. we Francji, w Szwajcarii czy w krajach skandynawskich) przez telefon komórkowy w miejscach publicznych rozmawia się tylko w ostateczności. Wynika to zarówno ze społecznych dobrych zwyczajów, jak i z dyskretnych sugestii formalnych (np. w wielu pociągach są umieszczone wywieszki z wizerunkiem „uśpionego telefonu komórkowego”).

nych i odpowiedzialnych elit troszczących się o polskie społeczeństwo. Potrafiących i gotowych dobrze „obliczać”, czym jest dobro publiczne i jak należy do niego dążyć oraz je bronić. Tacy ludzie, jeśli się już pojawiają, natychmiast są ośmieszani, krytykowani albo po prostu nieskuteczni. Dominuje cynizm, interesowność i bezwzględność. Dominuje medialne mędrkowanie salonowych ekspertów. Polacy czuli i czują niepokój, brak oparcia w prawdziwie elitarnych przywódcach, niewiarę, że ktoś gdzieś o nich się troszczy. Odczuwają też skutki braku własnego systemu bankowego oraz niesamodzielność systemu medialnego. Wybrali więc jedyną w takiej sytuacji taktykę: agresję, buńczuczność, potencjalną walkę każdego z każdym. W sferze publicznej – paradoksalnie: wskutek poczucia niepewności – na wszelki wypadek starają się wzajemnie dominować nad sobą.

Niestety, wszystkie wspomniane wcześniej negatywne zjawiska, a przede wszystkim owa kulturowa matryca zdegenerowanej sfery publicznej powoduje, że nie tylko należy niepokoić się teraźniejszością. Są to symptomy bardzo groźne dla przyszłości.

Próbując podsumować efekty transformacji, nie sposób zaprzeczyć, że transformacja stworzyła jakiś nowy ład, ale też jakiś nowy „nieład”. Procesowi temu towarzyszyło na początku załamanie się poczucia oczywistości otaczającego świata. Wypracowane w minionym okresie wzorce radzenia sobie z rzeczywistością w nowej sytuacji stawały się stopniowo dysfunkcjonalne, co nie oznacza, że nie były nadal stosowane (np. osławiona „wyuczona bezradność” z czasów realnego socjalizmu). Równolegle pojawiały się nowe wzorce – zazwyczaj przejmowane z zachodniej kultury masowej oraz wypracowywane na użytek „walki każdego z każdym”. Ukształtował tu się niespotykany w Europie typ człowieka niepewnego siebie, ale głośnego; zakompleksionego, ale agresywnego; ponurego, a przy tym buńczucznego. Szczególnie, niestety, dotyczy to ludzi młodych.

Transformacja ustrojowa doprowadziła do swoistej gospodarczej, politycznej, społecznej i kulturowej hybrydyzacji, której „proporcje” są trudne do określenia. „Stare” i „nowe”, socjalizm i kapitalizm, konserwatyzm i liberalizm, Wschód i Zachód ciągle się przenikają, choć to pierwsze wydaje się coraz odleglejsze, bledsze, bardziej obce, to drugie zaś coraz bardziej oczywiste i traktowane jako normalne. Nader widoczny jest też nowy podział na beneficjentów zmian i upośledzonych. Transformacja zniósła jedne nierówności, wprowadziła jednak inne, niekiedy bardzo głębokie i – jak się wydaje – nieusuwalne, nieuzasadnione kompetencjami (oprócz ideologicznej „liberalnej zaradności”). Z tym łączy się daleko idąca rozpiętość dochodów (nierazko w stosunku 100:1), co wytworzyło liczną kategorię ludzi wykluczonych, co już samo w sobie jest jednym z przejawów naszych postkolonialnych opresji<sup>14</sup>.

Nadal jesteśmy społeczeństwem mało zintegrowanym, w którym nie tylko nie przejawiają się funkcjonalne zależności i relacje, nie tylko poszczególne człony społeczeństwa nie współpracują i nie przyczyniają się do „dobra, trwania i rozwoju całości”, do interesu zbiorowego, lecz także – jak się rzekło – pomiędzy poszczególnymi segmentami życia społecznego rysują się wyraźne podziały, a nawet mniej lub bardziej skrywane niechęci czy wzajemne pasożytowanie. To

<sup>14</sup> Por. m.in. M. Buchowski, op. cit., s. 102 i n.

jeden z największych paradoksów, że społeczeństwo, które wprowadziło do światowego słownictwa politycznego pojęcie solidarności, praktycznie jest wewnątrznie wobec siebie tak mało solidarne. Jak się okazało, rację mieli ci, którzy zwracali uwagę na to, że łatwiej tworzyć „solidarność przeciw czemuś” aniżeli „solidarność za czymś”.

## V

Jak więc ogólnie zbilansować skutki naszej transformacji? 14 kwietnia 1992 r. Gustaw Herling-Grudziński zapisał w swym *Dzienniku pisanym nocą*: „Będziemy (jeżeli będziemy) wracać do zdrowia powoli, stopniowo, bez cudów nad Wisłą” – i było w tym stwierdzeniu wiele proroczej racji. Trzymając się tej metafory, możemy stwierdzić, że choć z jednych chorób wykurowaliśmy się szybko, to inne stały się wręcz chroniczne. I co gorsza: nie widać na nie ani lekarstwa, ani lekarzy. I to można uznać za największe rozczarowanie ostatniego dwudziestolecia.

*Prof. dr hab. Marian Golka*

*Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu*

## POLISH TRANSFORMATION FROM POST-COLONIAL PERSPECTIVE

### Summary

The paper consists of four parts. The first one outlines the main, general theses of the author's deliberations, the second presents the basic assumptions of the post-colonial theory, or perspective, the third contains a brief characteristics of the mechanism of changes after 1989, and the fourth offers evaluation of selected effects of transformation from the perspective of the adopted theory.

The climate for political transformations in Poland was unfavourable and it was largely carried “blindfold”. Consequently, its consequences were both positive and negative. The positive effects have many supporters of the transformation, while the negative ones are much less frequently quoted. From the post-colonial perspective, the main negative effects include: the debt loop, sub-standard political culture (of citizens and politicians), quasi-tribal attitudes, good climate for corruption, impaired feeling of safety and various pathologies observed in different areas of public life.